

Aaron Corbet śnił znów ten sam sen.

Ale tym razem było w nim coś jeszcze.

Senne wizje, które pojawiły się trzy miesiące wcześniej, z czasem przybierały coraz bardziej realny kształt. Jakby to wszystko działa się naprawdę.

Przemierza ulice prymitywnej metropolii, starożytnego miasta zbudowanego z brązowej cegły, błota i słomy. Mieszkańcy boją się, ponieważ ktoś atakuje ich domy. Biegają w kółko przerażeni, w chłodnym, nocnym powietrzu głośnym echem odbijają się ich rozpaczliwe krzyki. Słyszą odgłosy przemocy, ostrza mieczy krzyżują się w walce, jęczą ranni – jest jeszcze coś, czego Aaron nie potrafi zidentyfikować. Jakiś nieznan dźwięk, który jednak wyraźnie się przybliża.

Wielokrotnie próbował zatrzymać we śnie przerażonych mieszkańców, zwrócić ich uwagę i zapytać, co się dzieje. Ale oni nie widzą go, ani nie słyszą. Jest dla nich niczym duch.

Mężowie i żony, chroniąc swoje dzieci, rozbiegają się w popłochu po piaszczystych ulicach, szukając ratunku. Znowu słyszą ich przerażone krzyki. Aaron nie rozumie ich języka, chociaż znaczenie tego, co mówią, jest dla niego wystarczająco jasne. Ich życie oraz życie ich rodzin znalazło się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Odwiedzał to miejsce we śnie niezliczoną liczbę razy i zawsze był świadkiem paniki jego mieszkańców. Ale ani razu nie dane mu było poznać źródła tego, co im zagrażało.

Przedziera się przez kręte uliczki nierealnego miasta, czując pod gołymi stopami szorstkość piasku przywiewanego tu z pustyni. Ale z każdą kolejną nocą zaatakowane miasto wydaje mu się coraz prawdziwsze, a dzisiaj wie, że strach, który czują mieszkańcy, udziela się także jemu. Po raz kolejny zadaje sobie to samo pytanie: czego ci wszyscy prości ludzie tak się boją? Kim są niewidoczni najeźdźcy, że napawają ich takim przerażeniem?

W pewnej chwili na miejskim targowisku zauważa chłopca, prawdopodobnie swojego rówieśnika, który wyskakuje spod plandeki przykrywającej wielką stertę żółtych owoców, przypominających tykwy. Obserwuje, jak chłopiec chyłkiem opuszcza wyludniony targ, pozostając cały czas w cieniu okolicznych budynków i co chwilę nerwowo spoglądając w niebo. Wydaje mu się to dziwne, że chłopiec obawia się czegoś, co może nadlecieć z góry.

Wtem chłopiec zatrzymuje się na skraju placu targowego i kuca w cieniu jednego z domów. Przygląda się uważnie podobnemu zacienionemu miejscu po drugiej stronie rynku.

Na jego śniadej, młodzieńczej twarzy maluje się niestabnące przerażenie; oczy ma otwarte tak szeroko, że w półmroku błyskają jedynie białka. Czego tak się boi? Aaron spogląda w górę, ale widzi tylko granatowe niebo usiane gwiazdami, które przypomina mu upstrzoną diamentami atlasową suknię. Nie ma tam nic, czego należałoby się bać. Wręcz przeciwnie, jest to widok, który należy raczej podziwiać.

W następnej chwili chłopiec opuszcza kryjówkę i pędzi ile sił w nogach, przez odkryty teren w upatrzone miejsce po drugiej stronie placu. Jest już w połowie drogi, kiedy zrywa się wiatr. Nagłe, potężne podmuchy, które wydają się pochodzić znikąd, niosą ze sobą piasek, kurz i brud. Chłopiec zatrzymuje się i próbuje osłonić twarz przed wiatrem. Jest oślepiony, stracił orientację. Aaron chce go zawołać, pomóc mu uciec przed tą tajemniczą burzą piaskową, ale wie, że wszelkie jego wysiłki spełzną na niczym. Jest tutaj wyłącznie niemy obserwator.

Wtedy znowu pojawia się ten dźwięk. Aaron nie potrafi go zlokalizować, wie tylko, że słyszał go już wcześniej. Dochodzi jednak do wniosku, że jego źródła powinien szukać w górze – coś bije w powietrzu, wznieca wiatr i wzmaga tę nagłą burzę. Chłopiec krzyczy wniebogłosy. Jego lepkie od potu ciało jest już niemal białe, z powodu drobinek piasku i kurzu, które doń przylgnęły.

Dźwięk narasta coraz bardziej.

Co to może być? Odpowiedź na to pytanie wydaje się na wyciągnięcie ręki. Aaron jeszcze raz spogląda w niebo. W powietrzu wciąż wiruje piasek, który kłuje go w twarz i wpada do oczu. Ale on musi to zobaczyć – musi dowiedzieć się, skąd pochodzi ten dziwny, głuchy dźwięk przypominający tętent lub uderzenia w bęben. Musi przekonać się, co wywołuje tak silne podmuchy wiatru, zdolne unosić z ziemi piasek i drobne kamienie. Musi wreszcie stanąć twarzą w twarz ze źródłem straszliwego horroru, który nawiedza mieszkańców miasta – w tym także tego chłopca.

Wtedy, przez chmurę pyłu i kurzu dostrzega ich. Ukazują mu się po raz pierwszy. Mają na sobie zbroje. Złote zbroje, które połyskują w migotliwym świetle, rzucanym przez płomienie ich broni.

Aaron widzi, że chłopiec biegnie ku niemu. Czyżby nagle stał się dla niego widzialny? Chłopak wyciąga rękę, błagając o pomoc w sobie tylko znanym języku.

Ale tym razem Aaron rozumie każde słowo. Próbuje odpowiedzieć, ale jego słowa zagłusza chór rozdzierających uszy pisków i wrzasków. Głosy drapieżników, które dostrzegły swoją ofiarę.

Chłopiec próbuje uciekać, ale tamtych jest zbyt wielu. Aaron może tylko patrzeć w niemym przerażeniu, jak podobne do ptaków istoty spadają z nieba, wprost na plecy chłopca, a jego żałosne krzyki toną w zgiełku, wywoływanym przez uderzenia potężnych skrzydeł.

Anielskich skrzydeł.

Aaron wślizgnął się do klasy w momencie, kiedy przez archaiczny radiowęzeł nadawano standardowe komunikaty dyrekcji.

Panna Mihos, najstarsza matematyczka w szkole, której do emerytury brakowało kilka miesięcy, podniosła głowę znad egzemplarza *Family Circle* i obrzuciła go lodowatym spojrzeniem.

– Bardzo przepraszam – wymamrotał Aaron, zajmując szybko swoje miejsce. Zdążył już się nauczyć, że im mniej się dyskutuje z panną Mihos, tym lepiej. Jej zasady były proste i czytelne: przychodzić punktualnie na lekcje, usprawiedliwiać na kartce swoje nieobecności i za żadne skarby nie zgrywać mądrali. Aaron przypominał sobie, jak Tommy Philips, który teraz siedział w jednej z tylnych ławek, trzymając buzię na kłódkę, próbował kiedyś być zabawny. Usprawiedliwił pisemnie jedną ze swoich nieobecności, wykorzystując do tego celu jakąś śmieszna anegdotę i skończyło się to dla niego tym, że przez tydzień musiał zostawać po lekcjach. Nie było nic gorszego, niż zgrywać mądralę przed starą matematyczką.

Aaron zerknął w jej stronę i zobaczył, że panna Mihos szuka czegoś w dzienniku – prawdopodobnie chciała zmienić status jego obecności. Gdy rozległ się dzwonek na przerwę, Aaron odetchnął z ulgą. *Może jednak to wszystko nie skończy się dzisiaj jakąś katastrofą.*

Pierwsza godzina zajęć z literatury amerykańskiej minęła bez problemów, ale w połowie trzeciej lekcji, akurat podczas pisania testu u pana Arslaniana, Aaron doszedł do wniosku, że był jednak zbyt optymistą. Nie tylko nie potrafił sobie przypomnieć pewnych rzeczy, których uczył się wieczorem, ale na domiar złego potwornie rozboleła go głowa. Czuł w środku jakieś koszarne wibracje, jakby ktoś włączył mu pod czaszką elektryczną maszynkę do golenia. Potarł z furią brwi, próbując skoncentrować się nad społecznymi i politycznymi następstwami niepokojów społecznych, które przeszły do historii pod nazwą Richmond Bread Riot. Fascynacja Arslaniana mało znanymi faktami z wojny secesyjnej przyprawi go kiedyś o tętniaka.

Reszta klasy oddała testy w okamgnieniu – tak szybko, że Aaron zaczął się nawet zastanawiać, czy aby w między czasie nie stracił przytomności albo nie został uprowadzony przez kosmitów. Udało mu się odpowiedzieć wyłącznie na pytania dotyczące tekstu źródłowego, kiedy rozległ się dzwonek kończący zajęcia. Mimo wszystko poczuł ulgę, a nieznośny ból głowy zaczął jakby ustępować. Szybko przejrzał, co do tej pory udało mu

się napisać. Nie był to może szczyt jego możliwości, ale biorąc pod uwagę, jak się czuł, nie było też najgorzej.

– Chętnie dałbym panu jeszcze kilka godzin, aby mógł mi pan oddać test przewiązany piękną różową kokardą, panie Corbet...

Aaron znów się zamyślił. Gdy podniósł głowę, zobaczył potężną sylwetkę profesora Arslaniana, który stał przy jego ławce z wyciągniętą ręką.

– Ale moja żona zrobiła wczoraj na kolację pysznego indyka i zostały mi jeszcze jakieś resztki w pokoju nauczycielskim.

Aaron gapił się na niego bez słowa, a szum w jego głowie stał się znów nieznośny.

– Pański test, panie Corbet – zniecierpliwił się nauczyciel.

Aaron zebrał się w sobie i podał mu plik kartek. Potem pozbierał książki i chciał wyjść z klasy, ale kiedy się podniósł, poczuł jak świat zawirował mu przed oczami. Na wszelki wypadek przytrzymał się ławki.

– Dobrze się pan czuje, panie Corbet? – spytał Arslanian, który zdążył już wrócić za swoją katedrę. – Jest pan trochę błądy.

Aaron zdziwił się, że jest „tylko” błądy. Prawdę mówiąc, miał wrażenie, jakby z uszu i nosa miała mu zaraz trysnąć krew. Czuł się koszmarnie.

– To ból głowy – wymamrotał po drodze do drzwi.

– Niech pan weźmie tylenol – zawołał za nim profesor. – I zimny okład na głowę.

Mnie to zawsze pomaga.

Na Arslaniana można liczyć w każdej sytuacji – pomyślał

Aaron, stąpając ostrożnie, jakby bał się, że czaszka eksploduje mu lada moment na tysiąc kawałków, przyozdabiając ściany krwawym graffiti.

Klatką schodową płynął tłum młodych ludzi, którzy wchodzili, wychodzili, albo po prostu stali w małych grupkach przed swoimi szafkami, wymieniając najświeższe ploteczki. *To niewyobrażalne* – pomyślał z sarkazmem Aaron – *jak wiele brudu może wypłynąć na powierzchnię w czasie jednej, pięćdziesięciminutowej przerwy*. Przeciskał się powoli przez płynący tłum. Postanowił, że odłoży książki do szafki, a potem pójdzie do gabinetu szkolnej pielęgniarki i poprosi o coś na ból głowy. Ból stawał się bowiem nie do zniesienia. Teraz Aaronowi wydawało się, że ktoś stroi w jego głowie stare radio tranzystorowe.

Manewrując między grupkami stojących uczniów, wymieniał okazjonalne uśmiechy lub skinienia głowy, ale nieliczni, którzy go rozpoznawali, robili to wyłącznie z grzeczności. Aaron wiedział, że koledzy i koleżanki uważali go za cichego, samotnego faceta z mroczną przeszłością. On sam zaś nie robił nic, by ta obiegowa opinia na jego temat uległa zmianie. Aaron nie zdobył w szkole żadnych przyjaciół, jedynie znajomych, którzy nie mieli dla niego większego znaczenia. W końcu udało mu się precyzyjnie do swojej szafki i zaczął wstukiwać kod.

Pomyślał, że może kiedy coś zje, poczuje się trochę lepiej. W końcu nie miał nic w ustach od zeszłej nocy. Otworzył szafkę i zaczął pakować do środka książki. Raptem usłyszał dziewczęcy śmiech. Obrócił się i zobaczył Vilmę Santiago, która stała przy swojej szafce z trzema koleżankami. Gapiły się w jego stronę, ale szybko odwróciły wzrok i zachichotały konspiracyjnie. *Co je tak rozbawiło?* – zastanowił się Aaron.

Rozmawiały na tyle głośno, że wszystko słyszał. Problem polegał jednak na tym, że mówiły po portugalsku i Aaron nie miał pojęcia, o czym tak zawzięcie plotkują. Dwa lata nauki francuskiego okazały się średnio przydatne, jeśli chodzi o podsłuchiwanie nastoletnich Brazylijek.

Vilma była jedną z najpiękniejszych dziewczyn, jakie kiedykolwiek widział. W ubiegłym roku przeniosła się do liceum Kena Curtisa z Brazylii i w ciągu zaledwie kilku miesięcy stała się jedną z najlepszych uczennic w szkole. Była inteligentna i piękna zarazem –

iście piorunująca mieszanka, która skutecznie go onieśmiała. Vilma i Aaron widywali się niemal codziennie na korytarzu, ale nigdy nie zamienili ze sobą ani jednego zdania. Nie to, żeby Aaron nie chciał z nią pogadać. Po prostu nic sensownego nie przychodziło mu do głowy.

Obrócił się, żeby poukładać książki w szafce i po raz kolejny poczuł na sobie ich wzrok. Tym razem szeptały między sobą, a on czuł, że popada w coraz większą paranoję.

– *Ele não é nada feio. Que bunda!*

W tym momencie poczuł w głowie oślepiający ból, jakby ktoś wbił mu w czaszkę szpikulec do lodu. Było to tak potwornie bolesne, że prawie się rozplakał – czym z pewnością naraziłby się na kolejny wybuch śmiechu.

Oparł więc czoło o chłodny metal szafki i modlił się, żeby ból ustąpił. *Nie może przecież boleć tak bardzo w nieskończoność* – pocieszał się w myślach. W miarę jak szepty brazylijskich dziewczyn stawały się coraz głośniejsze, w jego mózg wbijały się tysiące szklanych igieł. Pomyślał, że zaraz zemdleje – przed oczami wirowały mu kolorowe wzory, a ból ciągle narastał.

Dokuczliwie brzęczenie w głowie eksplodowało z całą mocą, a obwody w mózgu Aarona doznały nagłego spięcia. Zanim jednak zdążył stracić przytomność – ból raptem ustał. Aaron stał nieruchomo i czekał, bojąc się, że z każdym ruchem agonia może powrócić. *Co to wszystko miało znaczyć?* – zadał sobie pytanie i dotknął ostrożnie nosa, żeby sprawdzić, czy nie puściła mu się krew.

On w ogóle nie jest brzydki. Co za tyłek!

Nie było krwi. Wszystko ustało. Żadnego bólu ani ogłuszającego szumu w głowie. Prawdę mówiąc, Aaron czuł się teraz lepiej niż przez całe przedpołudnie. *Może to tylko część skomplikowanych zmian biologicznych, które zachodzą w moim organizmie po osiągnięciu pełnoletności* – zastanowił się, przypominając sobie po raz kolejny, że dziś są jego urodziny.

Gdy zamknął z trzaskiem drzwiczki szafki, zorientował się, że Vilma i jej dziewczyny wciąż rozmawiają. *Estou cansada de pizza. Semana passada, nós comemos pizza, quase todo dia.* Dyskutowały nad możliwymi wariantami obiadu – stołówka kontra pizzeria w kampusie studenckim. Vilma chciała iść do stołówki, jej koleżanki obstawały przy pizzy.

Aaron odwrócił się, zastanawiając się, czy powinien jeszcze zgłosić się do pielęgniarki i wtedy ich oczy się spotkały. Vilma uśmiechnęła się nieśmiało, po czym szybko spuściła wzrok.

Jej koleżanki zauważyły to jednak i zaczęły ją męczyć niemiłosiernie. *Porquê? Você está pensando que uma certa pessoa vai estar no refeição rio hoje? Czy to z powodu tego chłopaka stojącego nieopodal chciała jeść w szkolnej stołówce?* – dociekały.

Aaron poczuł jak oblewa go zimny pot. Jego podejrzenia spełniły się. Dziewczyny rozmawiały o nim.

– *É, e daí? Eu acho que ele é um tesão* – odparła Vilma i zerknęła znowu w jego stronę.

Teraz już wszystkie cztery dziewczyny wgapiały się niego bez skrępowania. Nagle w głowie Aarona zaświtała przerażająca myśl. Vilma i jej przyjaciółki nadal rozmawiały po portugalsku – ale teraz jakimś cudem rozumiał każde ich słowo.

Najbardziej jednak zaskoczyło go to, co powiedziała Vilma.

– *Eu acho que ele é um tesão.*

Powiedziała, że jest przystojny.

Vilma Santiago uważała go za przystojniaka!

(...)

Wychodząc na zalaną słońcem ulicę, Aaron wzdrygnął się. Czuł, że dzieje się z nim coś złego.

Coś, nad czym nie miał żadnej kontroli.

Aaron przeszedł na drugą stronę ulicy i przeskoczył niski, zielony żywopłot, który otaczał całe Lynn Common.

Przyjechał do swojego byłego psychiatry na tyle wcześnie, że mógł jeszcze zatrzymać samochód po drugiej stronie błoni, na chwilę wyłączyć silnik i wysiąść z auta. Zawsze lubił to miejsce, w którym rosły stare dęby i dzika, niekoszona trawa. Mimo iż ten zakątek Lynn Common wydawał się trochę zaniedbany, zachował swój niepowtarzalny urok. Nie licząc plaży, było to jego ulubione miejsce na spacer z Gabrielem przy ładnej pogodzie.

Brodził w trawie, starając się zebrać i poukładać myśli. Kiedy dotarł do połowy odkrytej przestrzeni, przypomniał sobie pewną lokalną ciekawostkę: błonia w Common Lynn miały kształt buta. W głowie zadźwięczał mu głos nauczyciela historii w gimnazjum – pana Frosta, który lubił im opowiadać o historii miasteczka.

Założone w 1629 roku, Lynn stało się z czasem jednym z ważniejszych ośrodków produkcji obuwia w całych Stanach. Mimo, że błonia zaczęto budować już w 1630 roku, obecny kształt buta zyskały w XIX wieku. Większa część stanowiła podeszwę, mniejsza – obcas. W tym momencie Aaron znajdował się w środku podeszwy. Zawsze chciał przelecieć się helikopterem nad miastem, żeby zweryfikować, na ile to prawda. Pan Frost wspominał o jakiejś książce w bibliotece, w której znajdowało się ponoć zdjęcie okolicy z lotu ptaka. Ponieważ i tak zamierzał wpaść dzisiaj do biblioteki, w drodze powrotnej do samochodu pomyślał, że poszuka tej książki.

W pewnym momencie Aaron zadrzał, jakby ktoś wrzucił mu za kołnierz kostkę lodu. Wydało mu się, że ktoś go obserwuje, więc rozejrzał się wokół.

Rzucił okiem w stronę zabytkowej estrady, stojącej w samym środku błoni. Kiedyś odbywały się tu letnie koncerty plenerowe, dzisiaj przesiadywały w tym miejscu dzieciaki na wagarach i bezrobotni w drodze do i z pobliskiego urzędu pracy. Teraz nie było tu nikogo.

Aaron rozglądał się dalej, aż wreszcie, w miejscu, gdzie zaczynał się obcas buta, dostrzegł jakąś sylwetkę stojącą nad jednym z koszy opatrzonych tabliczką z napisem: „Dbaj o czystość Lynn”. Nieopodal znajdował się wózek z supermarketu. *Pewnie zbiera puszki* – pomyślał Aaron, nie zatrzymując się i przyglądając się z oddali niewyraźnej sylwetce. Tak, teraz nie miał wątpliwości, że mężczyzna również patrzy w jego kierunku. Aaron czuł na sobie jego spojrzenie.

– Pewnie zastanawia się, czy nie podbiec, dać mi w zęby i zabrać portfel – Aaron wymamrotał przez zaciśnięte zęby, docierając do granicy żywopłotu.

Przekroczył niskie ogrodzenie. Jego Toyota Corolla, rocznik 2002 w kolorze niebieski metalik, stała zaparkowana dokładnie naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy. Aaron czekał, aż będzie mógł przejść przez ulicę.

Szukając kluczyków w kieszeni, zastanawiał się, co będzie robił przez resztę dnia. Nie poszedł wprawdzie do szkoły, ale nie zamierzał wcale zaniedbywać swoich obowiązków związanych z nauką. Postanowił, że spędzi popołudnie w bibliotece, przygotowując się do referatu zaliczeniowego z języka angielskiego u profesor Mullholland. Miał nadzieję, że wizyta w bibliotece pozwoli mu się zdecydować na wybór właściwego tematu. W głowie miał już kilka pomysłów: dualizm dobra i zła w twórczości Edgara Allana Poe, symbolizm religijny Hermana Melville’a, Szekspir i zastosowanie...

Nagle zjeżyły mu się włosy na karku i poczuł, jak wszystkie jego zmysły wydają z siebie ostrzegawczy krzyk. Ktoś był za jego plecami.

Aaron odwrócił się i stanął twarzą w twarz z mężczyzną, który obserwował go z oddali na błoniach. Starzec był ubrany w brudny płaszcz, spodnie przetarte na kolanach i

tenisówki. Bił od niego taki smród potu zmieszanego z alkoholem, że Aaron poczuł, jak żołądek podjeżdża mu do gardła.

Kloszard nachylił się w jego stronę. Aaron stał jak wryty, nie wiedząc, jak powinien się zachować. *Co on, do diabła, robi?*

Mężczyzna podszedł bliżej i zaczął go obwąchiwać. Najpierw twarz, potem włosy i klatkę piersiową. Po chwili cofnął się o krok i pokiwał głową, jakby właśnie znalazł odpowiedź na sobie tylko znane pytanie.

– Czy... czy mogę panu jakoś pomóc? – Aaron zająknął się.

Mężczyzna odpowiedział w języku, którego Aaron nigdy wcześniej nie słyszał. Nie wiedział dlaczego, ale był pewien, że nikt nie używał tego języka od bardzo dawna.

– *Czy rozumiesz język powstańca, chłopcze?* – spytał starzec posługujący się tajemniczym dialektem.

– *Tak* – odpowiedział Aaron, czując jak z jego ust wypadają słowa niezwykle i brzmiące równie dziwnie. – *Rozumiem cię... ale nie rozumiem twojego pytania.*

Mężczyzna nie przestawał mu się przyglądać, tym razem z jeszcze większą intensywnością. Aaron mógłby przysiąc, że w każdym z jego starożytnych oczu dostrzegł tańczący płomień, ale pomyślał, że to pewnie tylko gra światła i cienia.

– *Przed chwilą sam na nie odpowiedziałeś* – odezwał się mężczyzna w tym samym dziwnie brzmiącym języku. – *A to, kim jesteś, jest dla mnie oczywiste.*

– *Kim... kim jestem?* – spytał Aaron. – *Nie rozumiem, co...*

Tajemniczy mężczyzna o aparycji menela podszedł jeszcze bliżej.

– *Nefilim* – wyszeptał, wskazując brudnym palcem w jego stronę. – *Jesteś Nefilimem.*

Na dźwięk słowa, które wypowiedział starzec, Aaron poczuł, jak ogarnia go panika. Musiał uciekać. Jak najdalej od tego mężczyzny i tego słowa. I to jak najszybciej.

– Naprawdę, muszę już jechać – wymamrotał, wsadzając klucz do zamka i otwierając na oścież drzwi samochodu.

Aaron wsiadł do auta i zamknął drzwi. Jeszcze nigdy nie czuł tak przemożnej chęci ucieczki. Włożył klucz do stacyjki i zapalił. Wrzucając bieg, odważył się spojrzeć raz jeszcze w stronę dziwnego mężczyzny. Stał tam bez ruchu, obserwując go tym swoim przenikliwym spojrzeniem.

Aaron zawrócił i włączył się do ruchu. Popatrzył we wsteczne lusterko na oddalającą się sylwetkę. Mężczyzna nie ruszył się z miejsca, widać było, że go obserwuje i powtarza wciąż jedno i to samo słowo. Aaron dobrze wiedział, jakie.

Nefilim.

Aaron opłukał twarz zimną wodą i przyjrzał się swojej ociekającej twarzy w lustrze. Znajdował się w łazience biblioteki publicznej miasta Lynn.

– *Co się, do cholery dzieje?* – spytał, studiując uważnie swoje odbicie. – *Co się ze mną dzieje?*

Z twarzy w lustrze bił strach. *O co chodziło z tym starym gościem?* – zastanawiał się po raz setny. – *Co miał na myśli, mówiąc o języku powstańców? I kim był ten Nefilim?*

W głowie czuł potworny mętlik.

Wyciągnął z dozownika kilka papierowych ręczników i wytarł twarz. Kiedy sięgnął po wiszący na haczyku obok umywalki klucz do łazienki, zauważył, że trzęsą mu się ręce. Zdjął klucz i zacisnął go mocno w dłoni.

– Muszę się uspokoić – wyszeptał sam do siebie. – Staruszek pewnie postradał zmysły i wygadywał codziennie te same bzdury jeszcze kilku innym przechodniom. Nie ma się czym przejmować. W miasteczku nie brakuje dziwaków i świrów.

Usłyszał delikatne pukanie do drzwi łazienki. Wziął głęboki oddech, zebrał się w sobie i otworzył drzwi. Przed nimi stał starszy mężczyzna z płaszczem przewieszonym przez rękę.

– Skończyłeś? – mężczyzna spytał go, uśmiechając się nerwowo.

Aaron, wychodząc z łazienki, również zdobył się na uśmiech.

– Przepraszam, że to trwało tak długo – powiedział.

– Nie ma problemu. – Gość wyjął mu klucz z ręki i wszedł do toalety. – Chciałem się tylko upewnić, czy tam nie zemdlałeś.

Aaron obrócił się jeszcze, żeby zobaczyć, jak mężczyzna krztusi się ze śmiechu i chociaż sam nie był w nastroju do żartów, również zachichotał.

– Tego mi jeszcze brakuje – powiedział do siebie, wspinając się po białych marmurowych schodach, prowadzących z piwnicy na pierwsze piętro.

Znalazł wolny stolik w odległym kącie czytelnicy i przewiesił kurtkę przez oparcie krzesła. Nie był pewien, ile uda mu się zrobić, ale chciał przynajmniej spróbować. Poza tym, potrzebował jakiegoś zajęcia, które pozwoliłoby mu choć na chwilę zapomnieć o dziwnych zdarzeniach, które zdawały się go ostatnio prześladować. Przyniósł ze sobą zeszyt i długopis, który wyjął z przedniej kieszeni kurtki.

Kolejnych kilka godzin spędził, wertując najróżniejsze książki i podręczniki do literatury, szukając czegoś na tyle interesującego, co nadawałoby się na przedmiot eseju. Był już bliski wyboru tematu – najbardziej przypadł mu do gustu dualizm w dziełach Edgara Allana Poe, kiedy nagle zdał sobie sprawę, że jego myśli odpłynęły gdzieś zupełnie indziej. Nieświadomie bazgrał coś na marginesie zeszytu, zapisując w kółko jedno i to samo słowo w różnych wariantach fonetycznych. *Nefellum. Nefilem. Nifillim. Nefilem. Nefilim.*

Wyrwał stronę z zeszytu i przyglądał się jej w milczeniu. *Co to znaczy? Dlaczego nie potrafię o tym zapomnieć?* – zastanawiał się, śledząc każde ze słów.

Wstał z krzesła i przeszedł do pracowni komputerowej, która była jednak tak zatłoczona, że zrezygnował i udał się do sali z księgozbiorem podręcznym. Pierwszą książką, którą zdjął z półki był słownik *Webster's New World College Dictionary*. Położył opasłe tomisko na stole i zaczął szukać słowa, które tak go intrygowało, uwzględniając wszystkie warianty, jakie zapisał. Nie znalazł.

Może to nic nie znaczy? – pomyślał, odkładając słownik na miejsce. *Może to tylko jakiś wyraz bez sensu, wymyślony przez wariata. A ja wychodzę na jeszcze większego idiotę, przywiązując do niego taką wagę.*

W końcu Aaron doszedł do wniosku, że zmarnował już wystarczająco dużo czasu na bełkot starego kłozarda i postanowił wrócić do stolika, żeby napisać sobie przynajmniej plan eseju. Jeżeli coś jeszcze uda się uratować z tego szalonego dnia, to najwyższy czas się za to zabrać.

Zmiał kartkę z wynotowanymi przez siebie słowami, włożył ją sobie do kieszeni i wszedł do czytelnicy, ale Nefilim prześladował go nadal, jakby ten dziwny wyraz żył swoim własnym, tajemniczym życiem.

Po drodze do stolika, zajrzał do sali z komputerami.

Tym razem kilka stanowisk było wolnych. Miał wreszcie okazję zaspokoić swoją ciekawość.

Wszedł do sali i usiadł przy jednym z komputerów. To ostatnia szansa, żeby rozwiązać zagadkę tajemniczego słowa. Jeżeli tu go nie znajdzie, wymaże je z pamięci na zawsze i już nigdy do niego nie wróci. Zalogował się do systemu i włączył wyszukiwarkę. Wpisał jeden z wariantów słowa Nefilim, wcisnął „Szukaj” i wstrzymał oddech. Po chwili na ekranie pojawiło się kilka wyników. „Czy chodziło ci o Nefilim?” – zasugerowało Google.

Aaron potwierdził i czekał, aż wyszukiwarka wyświetli nowe strony.

Ku jego zdumieniu, było ich całe mnóstwo! *Przecież to jakiś absurd* – mruknął pod nosem, przewijając w dół stronę z wynikami i czytając nagłówki. Były tam strony na temat jakiegoś zespołu rockowego i jedna strona dotycząca gry RPG. Na każdej z nich pojawiało się słowo Nefilim, ale żadna nie podawała jego znaczenia.

W końcu jego uwagę przykuł serwis specjalizujący się w mitologii biblijnej. *Czyżby wreszcie coś sensownego?* – zastanawiał się, czekając, aż strona się załaduje. *Czy to słowo może mieć jakiś związek z religią?* Jeśli tak, to nic dziwnego, że nigdy wcześniej się z nim nie zetknął. Ani on, ani Stanleyowie nie byli nigdy specjalnie religijni.

Strona okazała się wyczerpującym kompendium wiedzy biblijnej – były tam definicje osób, miejsc i przedmiotów obecnych w Starym i Nowym Testamencie.

Bardzo szybko znalazł to, czego szukał.

Biblijny termin NEFILIM, który w języku hebrajskim oznacza „upadłych” lub „tych, którzy upadli”, odnosi się do potomków aniołów i kobiet, wspomnianych w Księdze Rodzaju (6:1-4). Więcej na ten temat można przeczytać w apokryficznej Księdze Henocha, gdzie znajdujemy historię grupy aniołów, które opuściły niebo, związały się z kobietami i uczyły ludzi różnych haniebnych rzeczy, chociażby takich, jak rzemiosło wojenne.

Thomas Sniegowski, Nefilim
Premiera: 20 października 2010

